

Agneszka Glińska Wącham świat wokół mnie

Każdy teatr pachnie inaczej. Próby pachną kurzem i dekoracjami, garderoby starymi kostiumami, a nad warszawskim Teatrem Powszechnym unosi się słodka woń wedlowskiej czekolady z pobliskiej fabryki. Premiery rozkwitają tulipanami oraz bukietami żonkili i frezji. Wtedy jest prawdziwe święto.



Agnieszka Glińska, reżyserka teatralna

Z dzieciństwa pamiętam woń wilgotnej ziemi z wrocławskich parków, majowe szaleństwo konwalii i fiołków. Kwiatowo pachniały też moje pierwsze miłości, bzami pomieszanymi z wiosennym deszczem. Może dlatego tak chętnie powracam do kwiatowych perfum.

Z dzieciństwa najlepiej pamiętam mnóstwo zapachów Brzeska, dokąd jeździłam do mojej prababci. Tam na podwórku kwitł jaśminowiec roztaczający nieprawdopodobnie intensywną woń. Całe wakacje spędzałam na wsi, gdzie nęcił sianem początek lata, a jego zbliżający się koniec zapowiadały żniwa. Podobały mi się zapachy wsi: starych chatup, błota, krów, które bardzo lubię, świeżego mleka z pajdą chleba, ubijanego masła. Uwielbiałam odwiedzać z prababcią jej siostry w okolicznych wioskach. To były prawdziwe wyprawy, najpierw autobusem, a potem kawał drogi na piechotę, by dojść na przykład do obłądnego sadu czereśniowego. Prababcia, osoba niezwykle pobożna, ciągała mnie ze sobą rano i wieczorem do kościoła, który pachniał kadzidłem i włosami starych kobiet, które tam przychodziły. Procesja w Boże Ciało zachwycała sypnymi płatkami kwiatów. Niezwykle silnie wabiły wiejskie odpusty: karmelowymi palonymi cukierkami, watą cukrową i kapiszonami. To bardzo konkretne aromaty mojego dzieciństwa, chętnie do nich powracam.

Z dzieciństwa zapadł mi w pamięć zapach szpitali. Oswojony, ponieważ moja mama tam pracowała, a ja byłam dość chorowitym dzieckiem i sporo czasu spędzałam na różnych oddziałach. Strzykawki w metalowych pudełkach do sterylizacji, bo wtedy nie było jeszcze jednorazówek, lizol, specyficzny klimat sali rentgena... Całe dzieciństwo wybierałam

się na medycynę i chyba jestem niespełnionym lekarzem z powołania. Pamiętam, że tata pachniał wodą toaletową Brut, a mama świeżą, cytrynowo-mandarynkową, przywiezioną z Francji. Oboje zaś papierosami Carmen. Mieszkaliśmy we Wrocławiu blisko wielkiego Parku Szczytnickiego, w bardzo zadrzewionej dzielnicy. Mieszkanie pachniało lipą, której gałęzie wprost wchodziły w okna. Wokół kwitły kasztanowce, niezwykle intensywnie czuło się obecność bujnych pokrzyw w ogródkach. Mnóstwo czasu spędzaliśmy, bawiąc się na dworze. Buszowaliśmy wśród malinowych chaszczy i po bunkrach przy poniemieckich domostwach. Ponad tym wszystkim unosiła się woń wilgotnej ziemi. W maju zakwitły konwalie i fiołki. Kwiatowo pachniały też moje pierwsze miłości, bzami pomieszanymi z wiosennym deszczem. Może dlatego tak chętnie powracam do kwiatowych perfum. Moje pierwsze mieszkanie w Warszawie znajdowało się obok Parku Krasińskich, gdzie też rosą bzy. Kiedy zbliżał się koniec kwietnia i początek maja, można było przez nie zwirować. Prawdziwa wiosna w powietrzu i w duszy. Wymarzony moment na zakochiwanie się. Studia kojarzą mi się przede wszystkim z barami mlecznymi. Zapach socrealistycznej garkuchni towarzyszy wszystkim wspomnieniom z tamtej epoki. Na szczęście intensywnie rozpylałyśmy wokół siebie wody kupowane w peweksach za pieniądze z trudem odkładane ze stypendiów. Panował istny





szła perfumowania się, a hitem było wówczas Poison Diara. Pierwsze perfumy, jakie mi podarowano, to Anaïs Anaïs Cacharela. Przywiózł mi je z Francji znajomy rodziców, gdy byłam jeszcze w liceum. Traktowałam je jako największy skarb, więc butelczkę miałam prawie trzy lata. Potem dostałam kompletnej manii na punkcie Loulou tej samej firmy i przez długi czas używałam tylko ich, twierdząc, że to jedyne perfumy dla mnie. Gdzieś wyczytałam, że tak w nich pachnie heliotrop i ta infor-

macja bardzo przemówiła do mojej wyobraźni. Podobnie zadziałała reklama, którą zobaczyłam w zachodniej telewizji. Prześliczna dziewczyna przechadzała się wdzięcznie, mówiąc: „Loulou? Oui, c'est moi”. Bardzo długo nie mogłam się z nimi rozstać, przynajmniej, byłam od nich uzależniona. Do tej pory dochowuję wierności kwiatowym konkretnym. Ujęty mnie konwalie w Diorissimo i tajemniczy fiołek w Innocence Chloé. Im konkretniejsza kwiatowa woń, tym bardziej perfumy mi się podobają. Zaryzykowałam też kupno Allure Chanel i czasami się nimi otulam. Miałam krótką chwilę fascynacji Chanel N° 5, ale to raczej z powodu Marilyn Monroe. Czasami myślę, że tak właśnie pachnie kobiecość. Bo na pewno nie domem, gotowaniem ani sprząaniem. Nie lubię perfum uniseks i nie mogę się przekonać do nowoczesnych zapachów z nutą arbuza czy melona, które pojawiły się wraz z Escape Calvina Kleina i są wciąż bardzo popularne. Przeszkadzają mi, a najgorzej na premierach, kiedy cały tłum nimi emanuje. Miło wspominać klasyczne, lekko piżmowe KL Lagerfelda, bardzo niepokojące. Lubię, gdy ludzie wokół mnie używają perfum, ale muszą dobierać zapach do osobowości. On powinien na nich dobrze leżeć. Wiem, że to trudne. Próbując znaleźć coś dla siebie, opryskuję najpierw na próbę przegub dłoni. Niestety, najczęściej już po pięciu minutach efekt zaczyna mnie denerwować i wiem, że nic z tego nie będzie. Trudno mi zrobić niespodziewany i trafiony prezent we flakoniku.

Nie noszę zapachu żadnego mięsa, ani surowego, ani gotowanego, ani pieczonego. Z daleka omijam wszelkie

sklepy mięsne i targowiska. Jadam tylko indyka przygotowywanego przez mamę na Boże Narodzenie i Wielkanoc. Lubię natomiast ryby i w ogóle nie przeszkadza mi ich intensywna woń.

Moja codzienność pachnie nikotyną, ponieważ próby w teatrze odbywają się w oparach papierosowego dymu, a także kurzem, bo pełno go w moim warszawskim mieszkaniu położonym w centrum miasta.

Ale dominujący i najważniejszy dla mojego powonienia jest Franek. Zapach matego dziecka to jedna z największych rozkoszy. Pozostaje we włosach, na ciele – trochę biskopitu, mleka, trochę wanilii. Coś nieprawdopodobnego i nie do opisanego. Stale czuję go w powietrzu. W czasie ciąży niezwykle uwrażliwiły się moje zmysły, a szczególnie węch. To warunkowało moje zachowanie, bo mnóstwa zapachów nie mogłam znieść, a o wiele mniejsza ich liczba sprawiała mi przyjemność. Wszystko zaczęło się nagle, gdy niespodziewanie dla siebie rzuciłam palenie, a raczej to palenie rzuciło mnie. Nawet jeszcze nie podejrzewałam, że jestem w ciąży. A może uwrażliwiłam się, bo nagle zniknął stale towarzyszący mi nikotynowy dym?

W mojej pracy nos jest wciąż obecny. Gdy przygotowujemy nową sztukę, zawsze rozmawiamy o klimacie i nastroju konkretnej sceny, a wtedy ważne stają się właśnie zapachy. Najmocniej pachniał monodram „Jordan”, który był przygotowywany w malarni, gdzie stale malowano jakieś dekoracje. Potwornie śmierdziało farbami, a ze stolarni obok unosił się zapach świeżego drewna. Przedziwna mieszanka. Z kolei przygotowując „Trzy siostry”, chciałam, żeby każdy akt pachniał inaczej. Pierwszy wiosną, drugi zimą, trzeci latem, a czwarty jesienią, tak jak napisał Czechow. Najłatwiej było przy wiośnie, którą łatwo rozpoznać w powietrzu. Natomiast zima w ogóle nie mogła nam zapachnieć. Któregoś dnia po przebieraniu w kostiumy poszliśmy do pobliskiego Parku Skaryszewskiego, zrobić zdjęcia do programu. Wtedy właśnie spadł pierwszy śnieg i zamarzło jezioro. Wszyscy zaczęli się wygłupiać, rzucać śnieżkami i ciągnąć wzajemnie po lodzie. Wrócili radośni, zarumienieni. Wtedy poculiśmy, czym powinien pachnieć nasz drugi akt, a ja zrozumiałam, jak pachnie zima. Tym, jak wracają dzieci z sanek z górki. To nie tylko woń, to klimat postrzegany wszystkimi zmysłami.

Ujął mnie silny zapach konwalii w Diorissimo Diara i tajemniczo fiołkowy w Innocence Chloé. Im konkretniejsza kwiatowa woń, tym bardziej perfumy mi się podobają. Miałam krótką chwilę fascynacji Chanel N° 5, ale to raczej z powodu Marilyn Monroe. Czasami myślę, że tak właśnie pachnie kobiecość.

